

TRZYNASTY SCHRON

(ISSN 1899-6396)

trzynasty-schron.net

Autor: **Dariusz 'DS' Sidor**

Tytuł: **Szubrawcy**

Część 1

POSZUKIWANIA

w której dowiadujemy się, że zaginął Cody, miejscowy chłopak i niespokojny duch, utrapienie wioski i wieczne zmartwienie rodziny, po tym jak parę razy przyniósł dość dziwne rzeczy do osady, kilka magazynków amunicji i parę ogniwi elektrycznych, które, dość cenne, znalazły natychmiast nabywców, przysporzyły mnóstwo nowych kumpli Cody'emu oraz sprowokowały nieustającą lawinę pytań, zbywaną frazą: „znalazłem gdzieś na północy”.

Cóż mogłem na to poradzić. Było ciemno, było zimno, było wietrznie. Szumiało mi w głowie, a piasek niesiony podmuchami wiatru siekł po policzkach.

Doprawdy, to nie do pomyslenia, tak łatwo dać się podpuścić i to zaledwie po kilku butelkach trunku.

Kontrast między zatechłym, ciepłym powietrzem knajpy, a rzeczywistością, w którą brnąłem każdym swoim kolejnym krokiem był zbyt wyraźny i wyrafinowany bym rozpacział. Nie mogłem ujawniać swoich wątpliwości przed resztą grupy. Pewnie ich nie mieli i teraz raczyli się pazernie, i okrutnie moimi lękami. Ha, nie pierwszy raz zresztą. Może nawet w tej chwili szturchają się znacząco łokciami unosząc brwi w moją stronę i skrywając uśmiech pogardy.

Może to tylko ja nie wiedziałem gdzie idziemy i po co?

Przez mgnienie wydawało mi się, że wiem po kogo idziemy.

Nie, tak naprawdę nie wiedziałem nawet tego.

Szedłem kierowany poczuciem przynależności do grupy. Grupy której nienawidziłem, wstydziłem się, budziła we mnie odrazę i euforię, uciekłbym od niej już dawno temu, gdyby nie to, że była moją jedyną rodziną.

- Przy skałach postój – Stary ustąpił z iluzorycznej ścieżki wytyczonej między kamieniami i wskazywał ciemniejący zarys pod rozjaśniającym się niebem.

Dziki wzruszył ramionami, minął Starego i szedł dalej w nakreślonym kierunku.

Przechodziliśmy pojedynczo i milcząco.

Resztki upiornego alkoholu powoli opuszczały ciała.

Minąłem i ja Starego popychany, chyba przez zamykającego pochód Skutera. Po chwili ruszył on sam, gdy tylko wypatrzył, że w mroku za grupą ciągnie Rob. Dziwny chłopak, bez którego Stary nigdzie się nie ruszał, a który jakimś dziwnym zrządzeniem losu zawsze nas doganiał na

postojach i nigdy nie gubił śladów.

Oprócz tych nielicznych zdarzeń, gdy to my musieliśmy wracać po niego, by wyciągnąć go z jakiś tarapatów. Co w przypadku bycia Robem nie dziwiło.

Jego nie wliczałem nigdy do grupy marszowej. Chodził sam, jakby był wiecznie zmęczony. Skóra schodziła z niego płatami, pokrywały ją skrzepnięte strupy. Na dodatek nieznaczące deformacje kończyn i trochę większe twarzy sprawiały, że wywoływał u obcych mieszane uczucia, a strach zbyt często był powodem do sięgania po broń.

Świtało. Poczulem na twarzy delikatny, ciepły powiew wiatru. Do tej pory jeszcze nic się nie wydarzyło i miałem nadzieję, że tak będzie do końca- przynajmniej dzisiejszego, rozpoczynającego się- dnia.

Po niecałej godzinie, gdy słońce podniosło się nad horyzont doszliśmy do skał i zaczęliśmy rozkładać się na wyciągniętych z plecaków lub przytroczonych do nich kocach szukając ciepła i ochrony przed wiatrem.

Dziki ze Skuterem wybrali się jeszcze, jak to powiedzieli- „omieść okiem terytorium dla spokoju sumienia”. Nikt nie miał ochoty na pogawędki więc po prostu pokładaliśmy się na ziemi układając przy sobie broń i starając się zasnąć. Oprócz Regulamina (w skrócie Reg) jak nazywaliśmy między sobą Jeffersona (dla przyjaciół Jeff), który rozpoczął dość hałaśliwe wznoszenie murku z kamieni, chcąc zbudować dla siebie nie tyle osłonę przed wiatrem, co stanowisko strzeleckie.

- W dupę wciśnij sobie te kamienie – to były życzenia dobrego snu skierowane do niego, którymi, rzecz jasna, niewiele się przejął. Spiorunował tylko wzrokiem ich nadawcę. Czynił to na tyle długo, że można było w ciszy zasnąć. Późniejsze jego rozkładanie broni i jej czyszczenie niewiele już nas obchodziło.

Obudził mnie przyjemny zapach pieczonego mięsa. O tak, to mi się należało już poprzedniego wieczora, zamiast tego ohydztwa z butelki. Kasza i kawał pieczonego brahmina na talerzu. Podanego najlepiej przez uśmiechniętą, cysatą barmankę. Otworzyłem oczy i... prosto przed swoją twarzą zobaczyłem wyszczerzone zęby gekona gotowego rozszarpać moją krtań. Wrzasnąłem, szarpnąłem się do tyłu, chciałem chwycić strzelbę, ale tylko ją niezdarnie odtrąciłem gdzieś dalej. Rozciągnąłem się na ziemi próbując wstać.

Rechot oznajmił mi, że nie ma niebezpieczeństwa. Skuter, zaśmiewając się w głos, cofnął nadzianą na patyk głowę gekona i z powrotem podszedł do ogniska. Dziki tarzał się ze śmiechu w piasku, parszkając i wrzeszcząc, że chyba się posikał ze śmiechu.

- A nie mówiłem, że się przestraszy – Skuter dumnie wypiął pierś.

- Mówiłeś, mówiłeś – Dziki pozbierał się już i poklepywał serdecznie przyjaciela po ramieniu.

- Ale związanie butów, to był też dobry pomysł. No przyznaj, że niezły – dopominał się uznania z rozbijającą szczerością w głosie.

- Jesteście obaj stuknięci – wrzasnąłem z wyrzutem.

Zawyli ze śmiechu.

- A pewnie, że jesteśmy!

- Jeszcze nie zauważyłeś?!

Znowu zarechotali.

- Ale za to możesz spać bez obaw, że obudzisz się na słodkiej i zieloniutkiej trawie, z kieszeniami pełnymi darmowego speeda, stosami pornotaśm i brahminów liżących tyłek słodkim i szorstkim językiem.

Znowu ryknęli śmiechem, a ja nic nie odpowiedziałem, bo wiedziałem, że mieli rację. Bez nich

nie byłoby mnie na tym świecie. Wiedziałem też, że każda moja odpowiedź znowu sprowokuje ich do jakiejś celnej riposty.

Stary siedział nieopodal, obojętny na nasze figle, skręcając sobie papierosa. Skąd on zawsze miał tytoń?

- Nie martw się – rzucił w moją stronę Jefferson idąc w stronę ogniska.

- Nie martwię się – burknąłem w odpowiedzi i zabrałem się za rozplątywanie sznurówek.

- Co dzisiaj mamy na śniadanie – Jefferson zapytał Skutera

- My mamy to, co sobie upolowaliśmy stojąc na warcie, a wy macie to co sobie wyciśniecie ze szmaty do pucowania karabinu.

- Kiedyś moja cierpliwość się skończy – Jefferson zacisnął ręce w pięści.

- Kiedyś naprawdę połamię ci palce, a potem dołączysz do zmapowanych mózgów na serwerach jakiegoś szurniętego klanu. Zamieniając się we wspomnieniową wiązkę bitów – Skuter już był gotowy do bitki.

- To niemożliwe. Ciało po śmierci nie zamienia się w bitową informację – Jefferson chyba sobie uświadomił, że dzisiaj może bójkę przegrać i zaczął się wycofywać łagodząc napastliwą wypowiedź jakimiś bzdetami.

- Mogę się założyć – wtrącił się Dziki bawiąc nożem – że twoje ciało po śmierci będzie jedną wielką wiązką zbitych informacji dla oglądających ciebie klanów i zazdroszczących tak precyzyjnych, i skutecznych cięć.

- Ej, przestańcie od rana toczyć te gadki – Stary cisnął niedopałek w ognisko. - Weź pokrój go – szturchnął Dzikiego - dla wszystkich, i zrób coś ciepłego do picia.

Dziki sapnął i zabrał się do dzielenia gekona na porcje. Nie równe, ale sprawiedliwe. Stary był przywódcą, szefem, ojcem, matką i kochanką, i nie dyskutowało się z jego poleceniami nawet rzuconymi mimochodem i szeptem.

- Zawsze jesteście tacy drażliwi po przebudzeniu – Herman i... ten drugi zbliżyli się do ogniska. Prawie zapomnieliśmy, że oni też się z nami zabrali. Na dodatek ciągnąc ze sobą brahmina z prowiantem, wodą i czymś tam jeszcze przytroczonym do grzbietu zwierzaka, a popakowanym w sakwy.

- A, przyszła eskorta wioskowa, która ma nam patrzeć na ręce – Dziki nie mógł sobie odpuścić i widać było, że szykuje się do kolejnej prowokacyjnej dyskusji.

- Daruj sobie – mruknął Stary.

To zakończyło poranną konwersację.

Usiedliśmy i jedli w milczeniu.

Przez tę chwilę naprawdę było miło i przyjemnie. Aż do momentu, gdy Skuter uniósł się puszczając bąka i z satysfakcją obserwował skrzywioną twarz Hermana i... tego drugiego, gdy owionął ich smród.

- Idę zmienić Toma – rzucił. Wziął odłożoną porcję, manierkę ciepłego napoju i zniknął między skałami.

Przez trzy dni łaziliśmy po okolicy włączając na wszystkie skały i zaglądając pod wszystkie kamienie. Byliśmy w każdym wąwozie, kanionie, rozpadlinie i dziurze stworzonej przez ten cały kamienny syf.

Łaziliśmy szukając i przepatrując każdy zakątek okolicy, a dwaj wieśniacy starali się jakoś wytrzymać i zapewnić „socjalne minimum” ciągnąc się za nami, a za sobą ciągnąc objuczonego brahmina. Trzeba przyznać, że nie wychodziło im to najlepiej i częściej zaglądali do naszych toreb i czekali na jakąś upolowaną przez nas zwierzynę niż samemu coś mieliby przynieść z przytroczonych sakw. Byli jednak mili i troskliwi, co zapobiegało ich ukatrupieniu, choć byłem

przekonany, że długo nie pożyją. To takie fatum, które tylko ktoś taki jak ja wyczuwał i pewnie dlatego Stary zabrał mnie kiedyś ze sobą i nigdy już nie zostawił.

Po trzech dniach przenieśliśmy się bardziej na północny-zachód. Wtedy też o mały włos, a stracilibyśmy Roba. Jak zawsze włókł się gdzieś z tyłu i czekaliśmy na niego w cieniu skał unikając słońca i wiatru.

Jefferson i Skuter zaczęły toczyć spór o wodę i o to czy kogoś nie wysłać po nią, mając na myśli dwóch mężczyzn z wioski, z chytrym planem, że gdy się oddalą, ukatrupią brahmina i obeźremy się za wszystkie czasy. Obaj wieśniacy wysłuchiwali tej kłótni w milczeniu i z rosnącym niepokojem.

Tak naprawdę to i Jefferson, i Skuter, co widać było, od kilku dni szukali pretekstu do bójki.

- Karawana! – Dziki z uniesioną głową wpatrywał się w horyzont. - Zabierać się stąd.

Nic nie widzieliśmy, ale Dziki miał zawsze rację w takich sytuacjach. Miał niesamowicie wyczulony słuch. Jego uszy pewnie zmutowały w jakiś nieprawdopodobny sposób stając się wrażliwe na najłżejsze dźwięki i to pewnie poza normalnymi granicami słyszalności, więc nie podjęliśmy zwyczajowej dyskusji, tylko szybko wypełniliśmy jego zalecenie. Nawet Stary, nauczony doświadczeniem, nie oponował.

Po dłuższej chwili ukazał się obłoczek kurzu i zaczęły majaczyć jakieś sylwetki.

Tom odprowadził Hermana z kumplem i ich zwierzaka w jakieś zagłębienie, i nakazał pod groźbą dalszego istnienia pilnowanie by to głupie zwierzę nie wydało żadnego ryku z którejkolwiek mordy.

Jefferson załadował swoją snajperkę i upewniwszy się, że słoneczny refleks lunetki go nie zdradzi, zaczął czujną obserwację. Reszta też się przygotowywała do walki. Nadchodząca grupa była jeszcze dość daleko.

- Karawana albo darmozjady – poinformował nas szeptem Stary.

Darmozjadami nazywał grupy trudniące się typowym wyzyskiem, rozbojem, szantażem, wymuszeniami, szemranymi interesami i innymi równie niebezpiecznymi, acz zazwyczaj bardzo zyskownymi przedsięwzięciami. Ciekawe jak nas by nazwał?

Patrzyliśmy jak się zbliżają. Dwudziestu uzbrojonych ludzi i 4 objuczone brahminy. Niby karawana...

Trwaliśmy w czujnym skupieniu pocąc się mimo cienia i ściskając broń.

- Moglibyśmy... - zaczął Skuter.

- Nie – Stary był bezwzględny. - Chyba ci do reszty odbiło. Niech idą.

Patrzyliśmy na nich jak szli niczego nie podejrzewając. Tak wyglądali. W rzeczywistości uważnie przeglądali okolicę, by móc w razie jakiegoś wydarzenia stosownie interweniować.

Śledziliśmy ich wzrokiem i gdy nas mijali, i gdy powoli zaczęło wydawać się, że już po ekscytującym spotkaniu, jeden z nich wyciągnął rękę, zatrzymał się i coś krzyknął.

Mogliśmy zauważyć jak dobrze są zorganizowani.

Natychmiast rozpierzchli się. Część przykucnęła, część stała dalej niby obojętnie, kilku odwróciło się i zabezpieczało tyły.

Czułem się tak jakby wiedzieli, że tu jesteś. Jakby spodziewali się po nas zasadzki, gdyby nie to, że patrzyli w przeciwną stronę.

Jefferson jęknął. Po chwili zobaczyliśmy także powód jego zmartwienia.

Rob.

Stary głośno przełknął ślinę.

Dziki wyszczerzył zęby

- No, to mamy zabawę, jasny szlag...

Rob pomału przełaził między skałami idąc po naszych śladach widocznych tylko jemu i nie

zauważając w ogóle karawany. Jakby był jej nieświadomy.

Szedł swoimi małymi kroczkami, sobie wiadomą i widoczną drogą.

To był cud, że od napięcia naszego i obstawy ziemia nie rozwarła się jakąś szczeliną. Otchłania, która by nas pochłonięła na zawsze uwalniając od takich niespodzianek.

Rob powoli zbliżył się, a potem wyminął grupę.

Zaryczał jakiś brahmin.

Nikt nie drgnął.

Jakaś jaszczurka zazgrzytała pazurkami o kamień.

Osypał się piach.

Powietrze wypełniło płuca, a potem je opuściło.

Rob szedł prosto na nas.

My się na niego patrzyliśmy, oni też.

W końcu doszedł w pobliże naszych zamaskowanych pozycji i... spokojnie sobie usiadł.

Szlag!

Dwie osoby zaczęły iść za nim.

Będzie wojna.

Przystanąły.

Zlustrowały okolice i dały znak by karawana ruszyła.

Uff, nie będzie wojny.

Brahminy ryknęły żałościwie i poszły.

Jeszcze jedna para została z tyłu i dopiero po dłuższej chwili zaczęli się wycofywać ubezpieczając się wzajemnie.

Karawana zniknęła w oddali.

- No ja cie... Idę się wysrać! - Skuter podniósł się i polazł dalej między skały.

Napięcie nas opuszczało.

- Zatłukę kiedyś tego skurwysyna! - wrzasnął Dziki. Podszedł do Roba. - Słyszysz, ty popaprańcu! Zatłukę cię, rozbijając ten durny łeb na miazgę!

Zaczął rozglądać się za dość dużym i poręcznym kamieniem.

- Nie ruszysz go - Jefferson wydawał się być groźny.

- Musimy jakoś renegotjować jego pobyt z nami – Tom wyszedł ze swojej kryjówki.

- Nic nie zrobisz!

Tom splunął Robowi pod nogi.

- Robisz to specjalnie, gnoju?! Nie pierwszy raz.

- Nie robi tego specjalnie -Stary podniósł się.

- Mam dosyć tego gówna!

- Ale jak się przydaje to jest dobrze?!

- Pieprzę to! Wolę żeby się nie przydawał i żeby nie narażał nas na takie spotkania.

Dziki wreszcie znalazł odpowiedni kamień i ruszył z nim na Roba. Wyglądał tak, że nikt nie wątpił, że idzie zrealizować swoją groźbę.

- Podejdz jeszcze krok, a cię rozwałę – Jefferson z pewnością nie żartował.

- Nie żartuj, Reg.. Czy ty kiedykolwiek do kogoś strzelełeś? No, pomijam oczywiście tamtą grupę stukniętych gości przy kopalni i tamtego mutka, który kosztował nas chyba połowę amunicji. No, jeszcze pewnie trochę bym znalazł ale... Przestań gadać te pierdoły! Podchodzę, uważaj.

Patrzyliśmy na rozgrywającą się scenę jak na wspaniale odgrywaną sztukę. Jeff groźnie potrząsnął bronią. Dziki zatrzymał się i za chwilę zrobił kolejny krok.

- Celuj dobrze, bo chybić z tej odległości to wstyd.

Skuter właśnie wrócił zza skał z radosną miną, wypróżnionego po długotrwałym zatwardzeniu, człowieka. Usiadł na ziemi i spokojnie zaczął się nam przyglądać.

- Odbiło wam do reszty! - Stary wszedł między nich. - Natychmiast przestańcie!

Ja także nie wytrzymałem.

- Po co to robisz! – zwróciłem się do Dzikiego. - Dobrze wiesz po co go mamy! Mało ci kłopotów?! Chcesz zdechnąć kiedyś w bólu albo wyglądać jak on?! No, chcesz?! Chcesz?!

- A, obrońca niewinnych się znalazł. Poplecznik robactwa. Zaraz ciebie też urządzię...

Nie zdążył wcielić zamiarów w czyn, choć już brał zamach, gdyż cios z tyłu powalił go na ziemię. Skuter odsunął się, splunął i potarł rękę.

- Wszystkim wam odbija. Wszystkim, powtarzam. Herman! – kiwnął na wieśniaka - zawieś go na brahminie. I uważaj jak się będzie budził. Musisz być wtedy szczególnie dla niego miły.

Tom wzruszył ramionami zawiedziony zakończonym widowiskiem i się odwrócił.

- A ty, Stary, się tak nie unoś, bo kiedyś faktycznie przez niego usypimy ci mały kurhanik na polu bezużytecznej chwały.

Stary opuścił pistolet, który w porywie wyciągnął.

- A ty, Jeff, uważaj, bo kiedyś naprawdę Dziki cię spierze.

- Jasne – prychnął Jeff i odszedł na bok.

- Tak, chyba niepotrzebnie się unosimy, to ten upał, to te poszukiwania... - Stary kręcił głową z niedowierzaniem - ...to zdarzenie, to wszystko jest jakieś chore... – wymamrotał i usiadł, i wtedy po raz pierwszy myślałem, że zobaczę jak płacze, ale nie, zebrał się w sobie i po chwili spokojnie poprowadził nas dalej w obranym kierunku.

Po kilku godzinach nikt już nie pamiętał co się zdarzyło.

Tylko trzeba było jeszcze raz ułagodzić Dzikiego kiedy się ocknął i chciał zabić Hermana.

Następnego dnia nikt już nie pamiętał co się zdarzyło.

Tamto miejsce znalazł Tom. Znajdowało się bardzo blisko Bariery, której początek oddziaływania określił Rob. Może nawet za blisko. Na dodatek nie mieliśmy żadnych antyradów. Niewiele wyróżniający się parterowy budynek i stara szopa. Tyle tylko, że wśród mało przyjaznego i dostępnego miejsca. Żadnych innych zabudowań. Tylko te. W dobrym stanie. Obok nich znajdował się spory plac uprzątnięty z wszelkich kamyków. W kilku miejscach widać było resztki ogrodzenia – paliki i drut kolczasty.

- Myślę, że to tutaj – powiedziałem Staremu i widziałem jak twarz rozjaśnił mu uśmiech.

Porzucony, zapomniany lub kto wie jaki jeszcze posterunek jednego z tych klanów stechnicyzowanych i posiadających wspaniałą broń i umiejętności; przynależnych diabli wiedzą komu lub zwykła kryjówka dla darmożjadów.

Wyczekaliśmy nocy, a potem pojedynczo podchodziliśmy do domu i szopy. Rob był z nami. Blisko.

Dom tylko z zewnątrz wyglądał porządnie. Przez okna ukazało się zdewastowane i pozbawione mebli wnętrze. Nic szczególnego, typowa ruina, która dziwnym zrzędzeniem losu wytrzymała. Na wszelki wypadek nie wchodziliśmy do środka.

Podeszliśmy do szopy.

Stary ostrożnie uchylił drzwi i na lufie strzelby wsunął lusterko. Po chwili wszedł do środka

i przywołał Roba. Za chwilę byliśmy wszyscy wewnątrz. Kilka szafek, biurko, połamane krzesło.

- Biurko w szapie, dobre sobie – burknął Skuter i podszedł do niego z drugiej strony, pewnie po to by sprawdzić co jest w szufladach.

Po chwili przywołał nas gestem ręki.

Na podłodze za biurkiem było widoczny właz. Odchylony!

Szybko przeszukaliśmy znalezione sprzęty. Oprócz krzesła, które już do końca połamaliśmy. W szafkach nic nie było, ani w szufladach biurka. Potem zajęliśmy się włazem.

- Bezpiecznie? - zapytał Dziki wpatrując się w Roba.

Rob wyciągnął rękę nad otwór podwinął rękaw i wsunął ją do środka, kiwnął głową. Podsunął się do skraju i wyszperawszy z kieszeni latarkę poświecił w dół.

- Baterie się kończą. Nienawidzę tego. Idę.

Skuter zaczął schodzić za nim.

- Tom i Jefferson zostają – zarządził Stary.

- A jakby coś poszło nie tak, to wiecie co macie robić – dorzucił Skuter nim zniknął w otworze.

Wywołani kiwnęli głowami.

Schodziłem ostatni. Dwanaście stopni drabiny i już byłem na dole.

- ...jak w dupie – usłyszałem narzekanie Skutera.

- Zapalam – oznajmił Stary i złamał sticklighta.

Trupioblade światło rozpraszało mroki. Korytarz przez kilka metrów wiódł prosto, potem zakręcał w prawo o dziewięćdziesiąt stopni, potem w lewo i jeszcze raz w lewo. Doprowadzał do małej sali z grodzią.

W pomieszczeniu niczego nie było, tylko z półotwartych drzwi wystawały jakieś buty, a może raczej nogi z butami.

Podpełzliśmy pod ścianami ściskając gotowe do strzału strzelby.

- No to mamy wieżyczkę, albo coś równie wrednego.

- Patrz, typowo wiejskie trepy. No, Młody – otrzymałem walnięcie w plecy – dobrze czuć.

- Ciekawe czy to o niego chodziło?

- Zabieramy go?

- Nie, bo pewnie karabin wieżyczki zacznie strzelać, a być może także zamkną się drzwi. Teraz jego ciało je blokuje – Stary już zaczął kombinować jak spenetrować kolejne pomieszczenie.

- Skoczę po Hermana, może rozpozna chociaż buty.

- No to leć, byle szybko. Nie chcę tu czekać na nie wiadomo co.

- Zabierz Roba na górę. Już nie będzie potrzebny – Stary wyciągnął rękę ze światelkiem.

Sala pogryżyła się w ciemności.

Po wiekach całych znowu rozbłysło światelko.

Dołączył Herman... i ten drugi. Diabli go nadali. Ciekawe po co wlaźł tutaj. Miał przyjść jeden, a przyszli obaj. Czy oni stanowią jakąś nierozłączną parę? Taką jak Alan i Emma?¹

- Nie włączcie w światło szczeliny w drzwiach. Nie wiemy na jaki zasięg jest ustawiona wieżyczka.

- Nawet nie wiemy czy to wieżyczka.

- Powiedzcie nam, czy go rozpoznacie po butach?

Herman i... ten drugi ostrożnie podeszli się do drzwi i ze światelkiem w dłoni zaczęli przyglądać się butom.

¹ Wpływ religii i tworzonych sekt, opartych na chrześcijaństwie i Apokalipsie, po których przetrwała tylko jedna para sprawiedliwych, znalazła odbicie także w różnego rodzaju obiegowych powiedzonkach.

- To chyba on – mamrotał jeden do drugiego – widzisz, nosił takie zniszczone jak cała rodzina.

- Przecież wszyscy takie nosimy. Pokazać ci?

- A spodnie?

Ostrożnie odchylając się do tyłu i przesuając w stronę drzwi starał się dostrzec, to co było skryte w mroku drugiego pomieszczenia.

- Wydaje mi się, że trzeba by było jednak go wyciągnąć.

- Dobra - Zawyrokował Stary. - W takim razie włącz go.

Herman popatrzył na niego z niedowierzaniem. A może nie patrzył na niego tylko na wymierzoną w siebie lufę.

- Ty go wyciągasz, a Dziki blokuje drzwi nożem.

- Ale miałem uważać, bo może tam jest jakaś wieżyczka i jak stanę w świetle...

Stary przerwał mu machnięciem ręki.

- Cisza! Teraz nikogo nie obchodzi czy to coś będzie strzelać czy nie. Wyciągaj go!

- Nie!

- Wyciągaj – Stary wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

- Nie!

- Dalej!

- Nie będę...

Huk wystrzału zagłuszył dalsze słowa.

Herman zatoczył się do tyłu (przeszedł obok otwartych drzwi i nic nie strzeliło) i oparł się o przeciwległą ścianę.

Chciał coś powiedzieć, ale tylko osunął się na podłogę.

- Ty – Stary wskazał lufą tego drugiego. - Wyciągaj go!

- Tak, tak, ja już go wyciągam. Ja już go wyciągam, ja go już wyciągam – wieśniak stał i trzął się, i powtarzał kilka słów dopóki uderzenie w twarz Skutera nie przywróciło go do rzeczywistości.

- Już. Już dobrze. Już go wyciągam – powiedział spokojnie. - Ale za Hermana czeka was sąd. Wszystko powiem. Poznałem się już na was, poznałem.

Stary popatrzył na niego dość dziwnie.

- Przecież strzeliłem w sufit! Ty tępy wieśniaku!

Dawno nie widzieliśmy go tak wkurzonego.

- Wyciągaj go! Ale już! - Potem palcem wskazał mnie. - A ty, Młody, ocuć tego pacana. Żwawo!

Ten... drugi podszedł do wystających butów, pochylił się, złapał ciało za kostki i pociągnął.

Dziki natychmiast wsunął z boku nóż w szynę. Drzwi lekko ruszyły, ale się zatrzymały.

Wieśniak stał w sali nad wyciągniętym ciałem i przyglądał mu się.

- To nie on.

- Nie?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno...

Co robimy dalej w takim razie? Sekunda zastanawiania się w ciemnościach przedłużała się. Czyżby zawiodło mnie przecucie? Czyżbym zawiódł Starego?

- ...choć ma jego ubranie – dokończył wieśniak po przerwie.

Popatrzyliśmy na siebie zdziwieni.

- Włącz do środka – Stary wskazał drugie pomieszczenie.

- Nie wejść. Nie możecie mnie zmuszać do tego. Nie możecie być tacy bezwzględni, tacy

okrutni... Mordercy! - wrzasnął, odepchnął zdumionego Dzikiego i rzucił się do ucieczki.

Aby wejść skręcaliśmy w prawo i w lewo, i jeszcze raz w lewo. Aby wyjść należało uczynić to samo w odwrotnej kolejności i odwrotną stronę – skrócić w prawo, jeszcze raz w prawo i w lewo. Niby proste, ale bez światła nadzwyczaj trudne. Już drugi zakręt zweryfikował umiejętności orientacyjno-topograficzne naszego przyjaciela.

Skuter nawet się nie wysiłał żeby go gonić. Po prostu poszedł za nim i po chwili przyciągnął z powrotem wlokąc go za kołnierz kurtki.

Po ocuceniu, czyli kilku trzaśnięciach „w pysk na odlew” został złapany przez Dzikiego i Skutera za ubranie i przy wrzaskach protestu wepchnięty do pomieszczenia.

Cisza.

Cisza.

- Ja żyję!

Usłyszeliśmy jego krzyk ze środka.

Dziki wziął od Starego lightsticka i wsadził łeb do środka.

Na środku następnej sali stał nasz obity nieco przyjaciel, kręcąc z niedowierzaniem głową i powtarzający o cudzie życia.

- Ej, czekaj – Skuter nie zdąży złapać Dzikiego, gdy ten wskoczył do środka.

Znowu cisza. Nic.

- Chodźcie, sami zobaczycie.

Wnętrze było pojedynczym, niskim pomieszczeniem, z szafkami pod jedną ścianą i skrzynkami pod drugą. Wieżyczka strzelnicza patrzyła martwo na nas swoją lufą.

- No, to mamy składzik. Miodzio!

- Wszystkie szafki rozbite – skarżył się, przepatrujący już wszystkie kąty, Dziki. - Co za dranie, niczego nie zostawili. Po prostu hołota. Zwyczajna hołota.

- Nic, a nic – dopytywał się Stary.

- Szlag! Nic!

- Ale dupa – Skuter wyrzucał trociny i szmaty ze skrzyń.

Nagle zerwał się z okrzykiem, który i nas poderwał. Wpatrywaliśmy się z wyczekiwaniem w niego, a wtedy powoli kucnął i wyciągnął z jednej ze skrzyń granat. Prawdziwy granat.

Dziki już był w skrzyni nerwowo wywracając ją na ziemię i starając się upchnąć kilka granatów po kieszeniach. Skuter skutecznie mu w tym przeszkadzał. Nawet Stary i ten wieśniak rzucili się po swoje łupy.

Przez chwilę radośnie wrywaliśmy sobie zdobycz, dopóki nie wpadała do rąk wieśniaka. Czar znaleziska prysł. Dziki powalił go jednym uderzeniem pięści i wyciągnął z rąk granat.

- Nie wpieprzaj się dupku!

Tamten patrzył niewidzącymi oczami.

- O ty kur...

Nim odciągnęli Dzikiego zdąży jeszcze kilka razy porządnie kopnąć leżącego mężczyznę. Mamrotał przy tym przekleństwa i wykrzykiwał słowa o gapieniu się. Ale na pewno chodziło mu o to, żeby się nie gapił.

W pierwszym pomieszczeniu, do którego go wyrzuciliśmy, chciał sprać drugiego wieśniaka.

Stary kazał mi go wyprowadzić na zewnątrz.

Udało mi się to choć w ciemności, niezawiniony, oberwałem kilka razy.

Na górze Dziki się uspokoił i z zachwytem oglądał księżyc zachodzący za wzgórzem. Nawet Rob siedzący nieopodal jakoś mu nie przeszkadzał. Nabrałem podejrzania, że chyba coś jednak było w tym pomieszczeniu, bo po chwili wpatrywania się w księżyc i gwiazdzone niebo,

wyciągnął w moim kierunku manierkę z wodą. Potrząsnąłem głową. Nierozsądnie było przyjmować coś takiego, czego potem może zabraknąć. Zwłaszcza Dzikiemu.

Za chwilę wyszedł Stary i Skuter.

Stary rzucił Dzikiemu nóż.

- Ile tego mamy? - zapytał mając na myśli granaty.

- Razem będzie... sześć.

- Mało, cholernie mało – podrapał się po głowie. - Trudno, nie można mieć wszystkiego.

Idziemy, zbierać się!

- A gdzie Herman i... ten drugi?

Skuter popatrzył na mnie rozbawiony.

- Postanowili zostać.

- Postanowili zostać – powtórzyłem bezwiednie

- Tak. Właśnie tak postanowili.

- Postanowili zostać, a nie jest tak, że po prostu... – aż bałem się to powiedzieć.

- Nie dzieciaku. Po prostu zamknęliśmy ich. Na dodatek z rzeczami ich kumpla ubranymi na nowego kolegę – Skuter uśmiechnął się. - Nauczą się nie kłamać.

- Nie kłamali – rzekł Stary. - Potem wam to wyjaśnię. Idziemy gdzieś wymienić dobra. Potem wybiorę się do tamtej wioski i opowiem jakąś prawdopodobną historię, a potem się z tej okolicy wyniesiemy. Idziemy! Niech ktoś – popatrzył na mnie – zabierze brahmina.

I tak właśnie zakończyła się nasza wyprawa po Cody'ego.

Mieliśmy apetyty na wielki skład amunicji, a znaleźliśmy kilka granatów zakopanych w trocinach.

Nie odnaleźliśmy Cody'ego, ale za to znaleźliśmy jego rzeczy na jakimś trupie.

Pozbyliśmy się dwóch wieśniaków i...

Najgorsze jest to, że moje przeczucie mówiło mi, że ta przygoda się jeszcze nie skończyła, i że kiedyś do tego zdarzenia wrócimy.

Na wszelki wypadek nie powiedziałem nikomu o tym ani słowa.

Część 2

WIOSKA

w której dowiadujemy się, że istnieją miejsca gdzie każdy wędrowiec może spokojnie odpocząć nie martwiąc się o swoje życie i zebrane mienie, i jak to jest grać w karty z nieznanymi i... znajomymi, i jak się to może skończyć.

Azyl był tylko jeden. Przynajmniej na naszej drodze.

Były to miejsca odpoczynku karawan i względnego spokoju. Strażnicy pilnowali przed najściem niepożądanych gości w stylu zmutowanego robactwa lub jakiś gniewnych ludzi, a ogrodzenia i zasieki wybitnie im w tym pomagały.

W wioskach takich obowiązywał swoisty kodeks praworządności, według którego wszelkie waśnie i animozje, jak ktoś to kiedyś dość infantylnie ujął, miały zostać wyciszone. W tych rozchwianych czasach potrzeba schronienia była tak silna, że układ został zaakceptowany.

Na szczęście lub wręcz przeciwnie, było kilka takich dość ważnych miejsc, na których zależało więcej niż jednej bandzie. Po latach krwawych potyczek wytypowano Azyle. Wioski pod wspólną ochroną, których mieszkańcy mieli względną swobodę życia przy pewnych obowiązkach oraz zakazie podróżowania. Co było logiczne, bo nie można porzucić pól, pastwisk i warsztatów.

Stary twierdził, że takie wioski powstały, gdy zwalczające się ugrupowania doszły do wniosku, że jak zabiorą całą żywność, wybiją wszystkich mieszkańców albo przyłączą do siebie, to życiodajne źródło wyschnie. Zaczęto więc ochraniać takie miejsca pobierając „ochronne” od mieszkańców i od przybyszów.

Pustkowia, niekończące się potyczki, twarde warunki przeżycia dawały nieźle w kość i czasami istniała potrzeba odpoczynku, nawet na terytorium wroga. W sytuacji ekstremalnej każdy miał zagwarantowaną nietykalność. Były to również miejsca spotkań i negocjacji. Każdy miał tam prawo przebywać i odpocząć bez obawy o własne zdrowie, majątek czy życie.

Pogwałcenie warunków Azylu było karane z całą bezwzględnością. Obowiązkiem było zabicie takiego odszczepieńca. Wszystkie grupy i klany ściagały dla nagrody wyrzutka.

Czasami zawiązywane sojusze upadały i lokalny Azyl zmieniał się w strefę walki. Albo dochodziło do rozstrzygnięcia i ustalenia kolejnego status quo, albo miejsce pustoszało i ulegało stopniowej degradacji.

- O rety, naprawdę, nogi już mi weszły w dupę – uskarżał się Dziki. - Daleko jeszcze? Musimy tam dojść?

Jego pytania pozostawały bez odpowiedzi.

Kończyła nam się woda i to był główny powód pchający nas do wioski.

- Czy to nie dziwne, że żadne grupy nie łączą się w drodze? Można zebrać całkiem liczną karawanę w jakiejś dziurze, ale nie ma najmniejszych szans, aby choć dwie połączyły się podczas wspólnej drogi – zastanawiał się Tom. - Co ty na to?

Wzruszyłem ramionami. W ogóle mnie to nie interesowało.

- Może wszyscy się czegoś boją – podjął Jeff. - My też nie lubimy jak ktoś z nami idzie, a na przypadkowe spotkania szykujemy się jak do walki na śmierć i życie.

- No tak, ale czemu karawany po drodze się nie łączą?

- Może się boją kradzieży. Pilnować okolicy i siebie nawzajem, to dużo pilnowania.

- A ta mniejsza mogłaby się bać, że zostanie zagarnięta przez tę większą.

- O to chodzi.

- Gówno prawda – wtrącił się Dziki. - Przecież można się zmówić jeszcze przed wyjściem karawany i ją zagarnąć po drodze. Żaden kłopot. Nie trzeba się uganiać po bezmiarze odludzia.
 - Ale wtedy wszyscy by wiedzieli, że ją zagarnąłeś.
 - No to co?
 - No to, ty tępy łbie, że już nikt by cię nie chciał do pracy, a wręcz przeciwnie, może by chcieli ci zrobić krzywdę jako rekompensatę utraconego mienia!
 - Poszedłbym gdzieś dalej – Dziki nawet nie zareagował na wyzwisko, co znaczyło, że dyskusja go wciągnęła. - Tak jak my teraz. Co za różnica.
 - Pozwól, że ci wytłumaczę coś czego nie jesteś w stanie pojąć...
 - Jesteśmy – Stary przerwał wspaniale rozwijającą się dyskusję, której finałem pewnie byłaby kolejna bójka w grupie. Pokazał na zarysowane zabudowania. - Doszliśmy. Mam nadzieję, że nic, w międzyczasie, się nie zmieniło.
 - Oby – mruknął Skuter. - Mogę zostać na wszelki wypadek poza wioską, tylko musicie przynieść mi dużo wody i żarcia.
 - Kogoś do towarzystwa – dopytał się Dziki, który już porzucił dyskusję o karawanach.
 - Naturalnie przyjacielu.
 - Ona czy on, przyjacielu – Dziki zarechotał.
 - Młoda brahminka z czerwoną kokardką i dzwoneczkiem, który będzie dźwięczał z każdym poruszeniem – zrobił wymowny gest ciałem.
- Wybuchnęli śmiechem. To była ta jedna z niewielu rzeczy, które pozwalały im zachować normalność. A może tacy byli?

Do bramy doszliśmy w końcu wszyscy.

Zapewnienie Starego, że to Azyl zdjęło z nas resztki zapobiegliwości i ostrożności. Ech, nie można tak postępować. Nie można.

Tymczasem przywitał nas jeden ze strażników wyjaśniając zasady poruszania się po osadzie. Przede wszystkim broń rozładowana i zabezpieczona, jakakolwiek groźba z udziałem broni będzie skutkowałą wydaleniem i niemożnością powrotu przez dwa lata oraz konfiskatą dobytku, opór – chłostą, a publiczne wyzwiska podczas wymierzania kary – śmiercią. Reszta jest mniej ważna i można popełniać błędy nim się wszystkie prawa opanuje. Od decyzji Starszego nie ma odwołań.

Kiwnęliśmy głowami. To się co jakiś czas zmieniało, w zależności od kaprysów trzymających zwierzchnictwo klanów. Czasami były to groteskowe przepisy, czasami bezduszne prawa. Szkoda, że nikt się nie zapytał o tę zwierzchność.

Weszliśmy do środka opłacając wejście po jednym naboju za każdego, Stary zostawił dwa i wyjaśnił, że za kilka godzin powinien przybyć jeszcze jeden z naszej grupy i jak wygląda.

- Może wejść, spoko. Nie mamy nic do niego, o ile nie jest zbyt naładowany. Takich nie chcemy.

- Sprawdzacie to?

- A pewnie, mamy licznik, nie bój się. Będzie czysty wejdzie, a nie to nie.

- Jak nie, to zawołaj mnie, proszę.

- Jakbym nie miał niczego do roboty, to pomyślę.

- To nie myśl, tylko zrób tak!

To oczywiście Dziki już nie utrzymywał swojego temperamentu.

- Coś chcesz mi powiedzieć chłoptasiu? - strażnik zmrużył oczy i wygodnie chwycił strzelbę. Z budynku wyszło jeszcze dwóch z bronią.

- Wyjaśniamy sprawę naszego kolegi – szybko powiedział Stary. - Już się wyjaśniła.

- To dobrze, to bardzo dobrze.

- To co, znajdziesz nas?
- Dobra, idźcie!
- W porządku?! - zakrzyknął kolega strażnika.
- Tak, już sobie idą!

Weszliśmy na teren Azylu.

Kilkanaście domów, szop, zabudowań stało wzdłuż drogi.

- Witajcie w dziurze – mruknął Jeff.
- W dupie – poprawił Dziki.
- W odbycie – wyjaśnił Skuter.

Tom tylko splunął, a Stary albo nie słyszał, albo udawał, że nie słyszy.

- No, Młody, to co na to powiesz – Skuter objął mnie ramieniem.
- Na co?
- Na pobyt w tym uroczym miejscu.

Wywinąłem się.

- Dajcie mi spokój!
- Dobra, dobra, nie trzeba się dąsać. To pragnienie. Szukajmy studni z wodą. Na dobry początek – zaraz dodał. - Albo baru z jakiś okropieństwem wyzerającym trzewia.

Siedzieliśmy już w tym miejscu, drugi dzień i było to okropne. Wszechogarniająca nuda. Nic się nie działo. Kolejne grupy miejscowych utrzymywały w czystości przejścia między zabudowaniami, doglądały pól, pielęgnowały zwierzęta. Wyglądali, że nic innego nie robią przez całe życie i pewnie tak było. Po pierwszym dniu wiedziałem o nich wszystko i o tym miejscu. Zaczęliśmy popadać w beznadziejne otepienie. Oprócz Starego, który wyglądał na zadowolonego i zrelaksowanego.

A byliśmy tu dopiero drugi dzień!

- Zwariuję.
- Ja też.
- I ja.
- Po co tu przyszliśmy? Zdychać?
- Jeśli chodzi o mnie to już się wyspałem i mogę wracać na szlak.
- Nuda, nie?
- Jeszcze trochę, wytrzymajcie jeden dzień i ciszcie się, że nie trzeba ciągle pilnować własnego tyłka.
- I innych. Dobrze powiedziane.
- Głupie.
- To wymyśl coś innego.
- Na coś czekamy?
- No właśnie, po co tu przyszliśmy? Hej, Stary, po coś nas tu ściągnął? Coś wiesz, ale nie chcesz nam powiedzieć, czy tak?
- Tak.
- No proszę i wszystko stało się jasne. A myślałem, że sobie ufamy.
- A tak nie jest?
- A co tu robimy?
- Czekamy.
- Czekamy?
- Czekamy!

- Czy mogę wiedzieć...

- Nie! Nie możesz. Chcę z kimś pogadać i dowiedzieć się o kilku ważnych sprawach, które pozwolą nam wrócić w jakieś miejsce uciech, do którego nie możemy wrócić nie narażając się na wojnę z całym miastem. Chcę się dowiedzieć kim jest ten z szopy, a raczej ze schronu, chcę się dowiedzieć kto będzie nas tropił, chcę... a zresztą – Stary machnął ręką.

- No, to trzeba było tak od razu mówić – Dziki odetchnął z ulgą i przeciągnął się wraz z głośnym ziewnięciem.

Doskonale wiedzieliśmy o czym była mowa i o jakim mieście. Chcieliśmy tam wrócić i zanurzyć się w prawdziwym alkoholu, doświadczonych dziwkach, męskich rozrywkach i spokojnym przepuszczaniu majątku, a także zmierzyć się z wielkimi nadziejami na dużą kasę i dostatnie życie przez parę długich lat. Jakoś ciągnęło nas do tego.

Na skutek naszych niepoprawnych działań nie mogliśmy tam dzisiaj się udać. Nie bez szwanku dla naszego życia.

Stary jednak jakoś działał. Powoli lecz skutecznie. Starał się zapewnić nam względne bezpieczeństwo.

Na szczęście już drugiego dnia nastąpił zwrot w naszym pobycie w dziurze, którą uparczywie niektórzy nazywali dupą.

Starszy wioski poprosił Starego do siebie, a my w tym czasie postanowiliśmy spędzić uroczę popołudnie w nadzwyczaj dobrze znanym już nam, prawie do podszewki, jedynym barze w Azylu.

Taka to była dziura, że na jej poznanie wystarczył jeden dzień.

Jedyną zaletą był prawdziwy alkohol, o ile ten destylat kukurydziany z naświetlanych pól można nazwać prawdziwym alkoholem oraz pszeniczne piwo robione na miejscu i zalatujące nieco zjełczałym masłem. Może tak miało być? Nigdy nie byłem koneserem trunków.

Dziki i Skuter rzucili się z przebywającymi w środku przybyszami do gry w blasta. Jeff został w motelu gardząc takim towarzystwem, Tom snuł się po okolicznych pastwiskach, a ja siedziałem wciśnięty w jakiś kąt i sącząc swoją porcję alkoholu zastanawiałem się jak to się skończy, bo ostatnie takie popijanie skończyło się... no, właśnie, skończyło się?

Zacząłem rozpamiętywać zdarzenia sprzed paru dni mimowolnie obserwując lokal i wysłuchując strzępków rozmów przy stolikach.

O zbiorach, o dziwnych błyskach za wzgórzami, o nocnym ataku modliszek, o wykrwawieniu się brahmina, o wiejącym wietrze, o pryszczach...

Najgłośniejsza rozmowa toczyła się przy stoliku graczy.

Skuter i Dziki dorzucili swoje talie do wspólnej kupki i pewnie już szło kolejne rozdanie. Na stole leżała spora grupka żetonów.

Co za przekleństwo, co za obłąd tak świadomie iść na męki, ale co miałem robić? Podszedłem do baru zamówić coś do picia i wymienić posiadane środki pieniężne na żetony.

- Piwo... - zagałem.

- Jest, świeże, zbożowe – barman, zwany Butterburem, uśmiechnął się.

- Niech będzie.

- Jedno na początek? Od razu dwa?

- Jedno... na początek.

- I to mi się podoba. Coś jeszcze?

- Chciałbym kilka żetonów do gry – pogrzebałem w kieszeniach. - Wymienisz mi dolary

Korporacji Azjatyckiej?

- O rety, to ktoś to jeszcze ma? Niesamowite – barman aż gwizdnął z wrażenia. - Wybacz, ale niechętnie. Prawdziwe jeny Chińczyków, to jeszcze, bo czasami handluję z Chińczykami, którzy są przywiązani do swoich pieniędzy, ale tak naprawdę to wolałbym naszą walutę. No, albo amunicję, ale tę, no, przedwojenną amunicję.

Westchnąłem, podrapałem się po głowie. Szybko w myślach przeliczyłem swój stan posiadania.

- Jaki kurs?

- A to zależy za co – uśmiechnął się szeroko i przyjacielsko.

Po chwili dochodziłem do stolika z woreczkiem żetonów, które okazały się sprasowanymi i podkolorowanymi kapslami. Ponoć stanowiły nową, miejscową walutę. Kto by przypuszczał, że nastąpi coś takiego, że porządny amerykański dolar będzie odchodził w przeszłość.

Tutejszy bar, świetlica, miejsce rozrywki było dużą szopą z dobudowaną werandą i wyciętymi w deskach otworami okiennymi. Z braku szkła boczne okna przesłonięte były mleczną, grubą folią. Od strony ulicy, były tylko otworami z powiewającymi w nich luźno sznurkami i wstążkami. Wszystkie posiadały zewnętrzne okiennice zaopatrzone w solidne okucia i sztaby.

Minęło południe i większość stolików była jeszcze pusta. Kilka wszakże było już zajętych przez mieszkańców, tuziemców oraz paru tymczasowych, podobnych nam, przemierzających ten świat w sobie znanym celu, ze swoją dobrze skrywaną przeszłością, przyszłością i mgliście rysowaną terażniejszością.

Podszedłem do siedzących przy stoliku, gdyż było to jedyne miejsce tętniące jakimś życiem w tej spelunie, a dziwnie jakoś ciągnąłem do ludzi.

Rozmowa na chwilę ucichła, przerwano grę i popatrzone na mnie.

Oprócz nich wokół stołu było jeszcze 5 innych graczy. Na stole piętrzyła się kupka kapsli.

Szła w najlepsze rozgrywka w blasta.

- I co, wreszcie chcesz zobaczyć jak wygląda męska gra? A może chcesz się przyłączyć?
- zaczepił Dzik.

Wzruszyłem ramionami.

- A nie można sobie postać i popatrzeć?

- Byle nie zza moich pleców – odezwał się brodaty gość o dość nieokreślonym wieku, pewnie młodszy niż zarośnięta gęba na to mogłaby na to wskazywać. - A poza tym... siadaj i graj!

Odsunął puste krzesło obok siebie. Usiadłem między nim a Dzikim. Wcale mi się to nie podobało, a sądząc po minie mojego druha, nie tylko mnie.

- Ej, no co jest? Siadaj i graj! Po co ci te kapsle? – Skuter popędzał graczy, zacierając ręce.

- I żadnych starodawnych monet i innych dupereli. Legalna kasa, znaczy się tutaj kapsle lub amunicja, żadnych dupereli. Żadnych min, okrzyków, westchnień, bo osobiście wykopię – ostatnie zdanie było skierowane specjalnie do mnie.

- Słyszeliśmy to już, słyszeliśmy - odpowiedział sąsiad brodacza.

Brzęknęły kapsle na stole.

Przeszedłem do wyciągniętego krzesła i usiadłem. Rzuciłem woreczek z kapslami obok siebie.

- No i proszę, spodoba ci się. Samuel Stanford – brodacz wyciągnął do mnie rękę.

Ucisnąłem ją.

- Gramy, czy płacemy nad własnym losem? Dalej, dalej, kto zaczyna? - popędzał Skuter.

Gość w kapeluszu uniósł kartę i rzucił ją na stół. Zaczęliśmy grać.

- Ciach!

- Razem dwanaście...
- I sześć!
- Gorąco... prawie wybuch...
- Zbieram.
- Damy!
- Trzy? Trzy?!
- Nie, skleilo się.
- A zesz, pas.
- Pas.
- Podbijam.
- Podbijam i dobieram.

Zerknałem w karty Dzikiego. Szukał figur, ale średnia, czarna i betonowa ręka na niewiele mu się zda w tym rozdaniu. Nie zdąży. Nawet ja to wiedziałem, że powinien pasować, a nie brnąć w licytację i rozgrywkę. Podbił, zgrał parę blotek i zaczął lepiej wyglądać. Jeszcze dwie, trzy kolejki...

Jednak nie zdążył.

Gość w zniszczonej nieco marynarce, po kolejnym pasie brodacza, zamknął licytację i wyłożył się.

- Blast!
 - No w dupę..., ej, idź sobie stąd. Nie było cię i jakoś szło! No już!
- Dziki był zły i widać było, że z chęcią by się wolał bić z gościem o straconą kasę.
- Siądź przy mnie – powiedział ten co wygrał i dociągnął krzesło ze stolika obok mocno się wyciągając i o mały włos nie tracąc równowagi. - Mów mi Richard.
 - Zdrajca – wycodził do mnie Dziki.
 - Pocałuj mnie w dupę!
 - He, he, he! No Młody, oby tak dalej! Gospodarzu – przywołał barmana – a nie masz czegoś naprawdę dobrego.

- Mam.
 - Dawaj!
 - Kasa.
 - Zaraz kasa, zaraz kasa, wygram, dam!
 - Dasz, przyniosę. I puść mi rękę, nie tacy tu byli.
 - I co? I co? Dobra, masz! No, co? Gramy?
- Potasowano karty. Poszło kolejne rozdanie.
- To co tu robicie – zagadnął brodacza.
 - A gramy, a siedzimy... - odpowiedź Skutera rozbawiła towarzystwo.
 - To widać, ale tak w ogóle. No, bo my z kumplem łązimy z karawanami, a ten oto dzentelmen, wskazał na Richarda, ponoć nawet ludzi leczyć potrafi, ale głównie to karawaniarze tutaj siedzą o tej porze.

Dziki uśmiechnął się i uniósł wyżej karty. Pewnie ma wysoki, czerwony podmuch na figurach i to z ręki.

- To tak jak my. My też, ale na razie chcemy odpocząć.
- Nie, no jasne. Każdy tutaj odpoczywa tylko, że my mamy zwierzęta w stodole, a wy nie macie. Nie każdy przychodzi z pustymi rękami.
- Bo my nosimy listy.

Brodacz pokiwał głową- reszta mu zawtórowała- i drwiąco się uśmiechnął. Pewnie to znaczyło, że przyjął odpowiedź i nie będzie dalej naciskał.

- Idziecie na wschód?

- Na zachód.

- Nie warto bez ważnego powodu, nim się dobiejecie do wybrzeża, to trzeba przejść przez tę cholerną pustynię.

- Byłeś?

- Chcieliśmy, ale daliśmy spokój. Proszę – rzucił kartę – siódemka.

Dziki zaczął bardzo twardo, kowboj spasował, brodacz Samuel z kumplem zagrali ostrożnie, Richard podobnie. Przez chwilę wszyscy skupili się na rozgrywce. Dziki wygrał.

- Następne rozdanie – zakrzyknął rozochocony.

- A teraz gdzie idziecie?

- Kręcimy się po okolicy. A wy co, nad ocean?

- A ciebie co tak ciekawi, a dokąd, a dokąd? A gdzie byłeś, a po co, a dokąd dalej? Ha?!

Wbili w siebie spojrzenia i nim zarechotali głośno wydawało się, że zrobiło się duszno i ciężko.

Przyszedł barman z trunkiem, zaczęło się komentowanie pogody i wspomnianie starych, dobrych czasów. Kapsle zmieniały właścicieli, butelki się opróżniały, opowieści zmieniły ton i stały się pełne przechwałek polane sosem heroiczno-martyrologicznym. Przysłuchiwałem się opowieściom Skutera i Dzikiego. Naprawdę, to przeżyliśmy? Naprawdę tam byłem?

Kilku miejscowych na moment się przysiadło, ale stawki były zbyt duże i dość szybko wycofali się.

- No... to ja pas.

- Pas. Czy można pustą popielniczkę?

Richard jako jedyny palił strzepując, odmiennie od reszty, do popielniczki, a nie na podłogę.

- Pan jesteś niepoprawny z tą popielniczką.

- Moi starzy, pamiętam, to się inhalowali jakimiś specyfikami, zamiast tego, a jak się skończyły baterie, to... - rozpoczął Samuel, ale przerwał.

- Podbijam!

- Znowu? I pewnie znowu z uziemioną ręką?

- Moje karty, moja decyzja.

- Ale nie można tak źle grać.

- A co to znaczy źle? Że jak nie mam wybuchowej ręki do blasta, to źle?

- Nie, no, ale tak jakoś... No grajmy, grajmy, nie ma co się spierać. Podbijam.

- Nie można siebie podbić.

- Co? Co, ach tak, a myślałem, że już kolejka obleciała.

- Och, jak się ma trochę więcej kapsli, to można i siebie podbić, i źle grać, i jeszcze raz siebie podbić.

- Bez przesady.

- No właśnie, bez przesady.

- No to pas! Zadowolony?

- Pas.

- Pas.

- Pan Richard?

- Pas.

- Pas.

- I taka z panami gra. Kto tasuje?

Zacząła się kolejna runda. Przez chwilę było cicho, gdy utkwiliśmy spojrzenia na rękach rozdającego, a potem oglądaliśmy swoje karty. Choć Dziki robił co mógł, aby zobaczyć nie tylko swoje.

- Nie wychylaj się tak. Jest tu bariera, której się nie przechodzi - został skarcony fuknięciem.
- Kto przeszedł raz, ten i może raz jeszcze – odparł beczelnie Dziki.
- Byliście za Barierą – kumpel brodacza parsknął. - Bez jaj.
- Stamtąd się nie wraca – uzupełnił kowboj.
- Tam się nawet nie chodzi – dorzucił Richard.
- A pewnie, że byliśmy. Tak? - Skuter pokiwał Dzikiemu, a ten mu odkiwnął twierdząco. - Tak!

Udowodnić?

- Udowodnij!
- A proszę bardzo. Gdzie ja to mam – zaczął szperać po kieszeniach odkładając karty koszulka do stołu. Wszyscy się pochylili oglądając jego rękę.
- Ej, co jest. Nie liczy się, jeszcze raz rozdawać, gdzie ja to miałem.
- Dobra nie szukaj, i co z tą Barierą, jak tam wlałeś?
- Korytarzem.
- Znalazłeś Korytarz?

Tak jak przed chwilą w odkryte karty, tak wszyscy popatrzyli się na Skutera, nawet Dziki otworzył usta w zdumieniu. Na sali zrobiło się cicho. Mityczny Korytarz za Barierę był marzeniem każdego mieszkańca Pustkowi. Szeptano się o edenie, zieleni, przyjemnym życiu.

- Znalazłem. I nie tylko Korytarz znalazłem, ale także powiem wam co znalazłem na miejscu.
- No, dawaj!

- Moment, moment – gmerał po kieszeniach, wyciągał z nich jakieś paprochy i uważnie studiował ich wygląd, potem sięgnął jeszcze raz po jakiś zmięty kartonik i uważnie się w niego wpatrywał.

- No, dawaj ty żesz! - wrzasnęło kilka głosów naraz.

- Dobra, sami chcieliście – wpatrzył się w towarzystwo, a każdy niecierpliwie nabrał powietrza w płuca. - Za Barierą jest... - powolnym gestem położył kartonik, jakby wykładał blasta, była to przedwojenna ulotka do Domu Uciech Madam Bourvielle - ...burdel pełen gorących lasek, ha, ha, ha! Ale was zrobiłem w konia!

Rozległ się syk wypuszczanego powietrza, ktoś parsknął śmiechem, nieco nerwowo i atmosfera po raz kolejny się rozluźniła.

- Uff, no to mi ulżyło. Już się bałem, że to prawda, a to by mogło oznaczać, że znikniesz – Richard mówiąc to ściszał głos aż do szeptu.

- Zniknę? Pewnie, że zniknę, rozpuszcza mnie ten trunek. Zaraz zniknę. Bul bul, gul i mnie nie ma!

- Ach, zamknij się wreszcie bo dam ci w dziób.

- Dziki, druhu dzielny, mnie?

- Zaraz wracam.

Dziki złapał bełkoczącego Skutera wpół, zarzucił na barki i zataczając się wyszedł.

- To co z tym znikaniem – Samuel i ja niemal jednocześnie zapytaliśmy Richarda.

Ten wbił wzrok w barmana, który akurat oglądał sufit, omiół szybko salę spojrzeniem i cicho podjął wątek.

- Podobno za Barierą jest mnóstwo dobra i to takiego, co mogłoby w szachu trzymać pół kraju. Wielu chce się tam dostać i położyć na arsenale łapę, ale nie dość, że kurewskie promieniowanie, to na dodatek, kto coś wie – znika. Widać, że poszukiwania trwają i komuś albo bardzo zależy na znalezieniu, albo już znalazł i pozbywa się konkurencji. W każdym bądź razie nie warto używać takich słów jak „korytarz” czy „bariera”. Zwłaszcza w takim miejscu, w którym wydaje się, że możesz bezpiecznie rozmawiać.

- Jak znika?

- Zwyczajnie. Jest – nie jest.

- Ale tutaj to chyba nie?

- Tutaj też – pochylił się konfidencjonalnie, reszta powtórzyła ten gest. - To miejsce pochłania ludzi, jestem tu ostatni raz.

- Ale bzdura, to Azyl - Brodacz się wyprostował.

- Właśnie dlatego.

Wyczułem jak każdemu mija ochota do gry i podejrzliwość rośnie w tempie spadającego kamienia. Nagle Richard ryknął śmiechem.

- A ha, ha, ha! Też was nabrałem! Uuu, ha, ha, ha! Wet za wet!

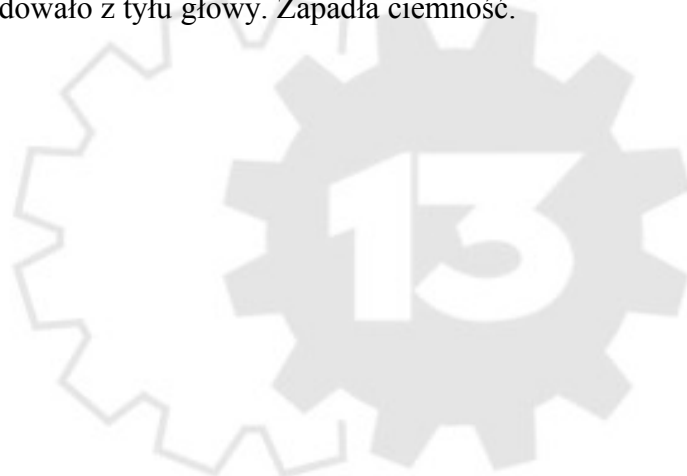
- Cholera, żartowniś! Idę! Nie chce mi się grać – Samuel odsunął głośno krzesło, a jego kumpel zrobił po chwili to samo.

- Mi też jakoś przeszło.

- To mi też.

Gracze się rozeszli. Jeszcze tylko Richard siedział i bawił się kartami. Wyciągnął w moim kierunku talię. Pokręciłem głową, dopiłem butelkę, kiwnąłem głową na do widzenia i z lekkim szumkiem w głowie wyszedłem się odlać.

Zachodziło słońce, cienie kładły się coraz dłuższe. Popatrzyłem na ostatnie krople moczu i wtedy światło eksplodowało z tyłu głowy. Zapadła ciemność.



Część 3

KARAWANA

w której dowiadujemy się jak najwygodniej podróżować po Pustkowiach i co zrobić aby zasłużyć na lepsze traktowanie, dlaczego niektórzy są lepsi do pracy, a inni nie oraz poznamy sztukę zadawania właściwych pytań, aha, i jeszcze to, że nie ma szczęśliwych zakończeń.

Równomierne kołysanie statku powodowało wzbierającą nudność. Góra, dół, góra, dół...

Głowa bolała osobliwie gdzieś z tyłu, a wypity alkohol domagał się wypuszczenia z żołądka. Chciałem podbiec do drzwi i do łazienki, ale coś trzymało mnie za nogi. To może chociaż do bulaju. Panika narastała.

Otworzyłem oczy i poderwałem się na nogi. Nie, było inaczej, raczej chciałem się poderwać, ale znowu się wywróciłem. Usłyszałem parsknięcie i chichot Dzikiego. Znowu mnie związali. Ale czemu tak jest ciemno?

Zwymiotowałem.

Nie mogłem otrzeć ust, bo ręce miałem skrepowane na plecach. To już było aż nadto jak na niewybredny żart współtowarzyszy. Oczy przyzwyczajają się do mroku.

Betonowe pomieszczenie z prześwietlającą klapą na górze. W mroku rysowały się jakieś sylwetki.

Splunąłem zalegającą żołąć. Co jest grane?

- Co Młody? Żyjesz, nie? - Zakpił Dzikie. - Ty to zawsze wiesz jak mnie rozbawić.

- Odwal się. Gdzie jesteśmy.

- Teraz to naprawdę w dupie.

- Zdaje się, że komuś podpadliśmy – wyszeptał Skuter.

- Ale w Azylu?!

- Miejsce dobre jak każde inne – z kąta dobiegł głos Starego. - Naprawdę nie tego się spodziewałem. Rozmowy przebiegły pomyślnie – splunął. - Zdaje się, że znowu trafiliśmy w zły czas, albo...

- Albo?

- Albo komuś poważnie nadepnęliśmy na odcisk, tak że usiłuje pozbyć się nas nie bacząc na uświęcone prawa.

- Szlag by to trafił – to Regulamin zawył ze swego kąta. - Wiecie, że oni nas nawet do ścian przypięli!

Spróbowałem się odczołgać, brzęknął łańcuch i coś mnie przytrzymało. Ale dupa!

- No i co dalej?

- Czekamy.

- Czekamy? Na co? Aż nas zaciukają?

- A możesz zrobić coś innego? Możesz? Nie możesz! No, to się zamknij!

- Daj pomyśleć Staremu, na pewno coś wymyśli.

- Jasne.

- Zamknij się!

Cisza, drzemka, dyskusja wulgarna o sikaniu w spodnie, cisza, drzemka, rozmowa o jedzeniu, cisza, drzemka i tak jeszcze parę razy. Obrys klapy zaczął przygasać, z czego można było wnosić, że światło sączące się z góry jest światłem dziennym, które powoli ustępowało ciemnościom nocy.

Czułem, że niedługo cała sytuacja się wyjaśni.

Znowu prostokąt się rozjaśnił, migotały jakieś światła i słyszeliśmy niewyraźne głosy. Podniesiono klapę. Do środka wskoczył jakiś mężczyzna.

- Tylko spokój chłopaki, to przeżyjecie. I nie przeklinać głośno, bo przyleję.

- No, on przyleje – to z góry zawtórował jakiś głos. - A przylać potrafi.

Nawet Dziki jakoś nie był skłonny do prowokującej zaczepki. Siedzieliśmy spokojnie czekając co się wydarzy. A mnie się zdało, że skądś znam ten głos.

Podszedł do Jeffa, odsunął go od ściany, odpiął łańcuch, po czym dźwignął go na nogi i odprowadził do klapy. Podsadził, jakieś ręce chwyciły i wyciągnęły. Podobnie postąpił z nami wszystkimi.

Na górze mogliśmy wreszcie popatrzeć na siebie. Nie były to spojrzenia radosne. Byliśmy w kplecie, brakowało tylko Roba, ale żaden z nas nie skomentował tego faktu.

Wprowadzono nas z chaty.

Na dworze była pochmurna noc. Byliśmy gdzieś z tyłu baru, blisko pół kukurydzy, a niedaleko obory, skąd dochodziło stłumione porykiwanie brahminów.

Uzbrojeni mężczyźni otoczyli nas, a jeden z nich lufą wskazał kierunek marszu. Był to partner brodacza od stolika, od blasta. Aha, to stąd pamiętam ten głos. Wszystko jasne. Za moment objawił się też sam brodacz, który przy stoliku przestawił się jako Samuel. Rzucił w naszą stronę coś co brzmiało: „sorry chłopaki” i poszedł na przód karawany. Wyglądało, że Azyl przestał być Azylem i wpadł w ręce handlarzy niewolników, albo wydarzyło się coś innego. Coś nieprawdopodobnego, coś co spowodowało, że opuszczaliśmy Azyl przez nikogo nie nagabywani i nie zaczepiani. Niewiarygodne.

Stary usiłował się czegoś dowiedzieć, ale uzyskał tylko zapewnienie, że dowie się rano i że następnym razem pożałuje, że się odezwał.

Ktoś jednak nie wytrzymał i zagadał do strażnika. Kto? Nie zgadniecie jeśli myślicie, że to Dziki. Jeff! Usiłował się upomnieć o swoją snajperkę podczas przetrząsania naszych pakunków i oberwał.

Po tym zdarzeniu szliśmy w milczeniu aż do świtu, kombinując jakby się wyrwać z tej dziwnej sytuacji. Było prawie jeden do jednego, więc powinniśmy wygrać, ale... nie wszyscy by dożyli tego momentu, a jakoś dziwnie każdemu z nas zależało by przetrwali wszyscy. Ja też próbowałem rozważyć kilka prawdopodobnych zdarzeń odzyskiwania wolności, ale każdy kolejny scenariusz był coraz gorszy. Gdy doszedłem do najczarniejszej wizji, w której ginie jeden po drugim nie wyrządziwszy najmniejszej krzywdy naszym opiekunom zarzuciłem myśli o ucieczce. Maszerowałem w otepiałym marszu, uważając na drogę i starając się nie dopuścić chłodu nocy do siebie.

Szliśmy w milczeniu do czasu, gdy kazali nam usiąść i dali wodę. Byliśmy w jakimś ustronnym miejscu osłoniętym pagórkami z dwóch stron. Słońce wschodziło, przekazywaliśmy sobie manierkę z rąk do rąk (spętanych), a wtedy z dala, czyli z za wzgórza, dobiegł ryk brahmina. Nadzieja wracała. Jeżeli w pobliżu jest jakaś osada... Ryk przybliżył się i z za pagórka wyszła karawana.

Siedzieliśmy zaciekawieni co będzie dalej, licząc na krótką utarczkę, podczas której byśmy mogli się wyrwać, a może nawet przechylić szalę zwycięstwa na którąś, wiadomo którą, ze stron, co dało by nam dość dobrą pozycję negocjacyjną z wyzwolicielami, a może byśmy byli jedynymi zwycięzcami, kto wie?

Niestety serdeczność powitania rozwiła złudzenia rychłego i skutecznego oswobodzenia, a do nas dołączono nieco liczniejszą grupkę spętanych jeńców. Znowu wychodziło prawie jeden do jednego z tym, że tych kilku gości posadzonych koło nas do niczego się nie nadawało. Byli

wymizerowani, widać że wygłodzeni i marzyli o zakończeniu, jakimkolwiek, tej smutnej dla nich przygody. Tja, byliśmy w dupie. I to dość głęboko.

Po ładnych paru godzinach, w czasie których mimowolnie wygrzewaliśmy się na słońcu, a nasi posiadacze przeglądali ukradzione, bo inaczej tego nie można nazwać, nam rzeczy, rozpoczęto dokonywanie selekcji. Była ona prosta i szybka, gdyż nie było nas zbyt wielu. Najdziwniejsze, że nie bardzo wiedzieliśmy czemu miała służyć.

Brodacz, zwany Samuelem, ustawił nas wszystkich w szeregu i przechadzał się wymachując zajęczą łapką Toma, którą wyciągnął z jego plecaka. Wskazywał nią po kolei każdego z nas i orzekał o dalszym losie. Zerknąłem na Toma. Bardzo lubił swój amulet i jego mina była niepokieszona, gdy oglądał swój skarb w łapach oprycha, a może spowodowało to zawahanie brodacza, który właśnie przed nim zatrzymał się, otaksował spojrzeniem od stóp do głowy i trącąc swój nos zajęczą łapką, zaczął się nad czymś zastanawiać. Może potrafił powiedzieć coś innego niż „kopalnia”?

Co czułem? Co inni czuli pod karzącym wzrokiem przechodzącego się naszego władcy?

Pewnie to samo co i ja, czyli nic. Nasze życie i tak dobiegało końca, choć dziwnie nie potrafiłem tego wyczuć.

- Kopalnia, kopalnia, kopalnia... - przechodził wzdłuż szeregu i odgrywał farsę.

Jaki sens w tym skoro wszystkich chce nas wsadzić do kopalni?

- ...kopalnia, kopalnia, kopalnia..., albo nie, tego do piachu, nie wytrzyma w kopalni.

Stary, na którego padł wyrok, nic nie mówił. Nawet nie splunął. Nie wiadomo czy dotarło do niego, że „piach” oznaczało dla niego wyrok śmierci. Pewnie tak. Regulamin kręcił z niedowierzaniem głową i coś mamrotał pod nosem.

Egzekucja miała być jeszcze jedną zabawą, albowiem do egzekucji wyznaczono Skutera. Jego wątpliwości zostały rozwiane paroma ciosami w głowę i kopniakami, które spadły na jednego z obcych, dołączonych do nas o poranku. Skatowali go na śmierć po czym... wyciągnęli mnie.

Wpatrywałem się w Skutera i czekałem na pierwszy cios. Chciałem mu powiedzieć, aby był twardy, aby nie zdradził Starego, by nie robił tego, bo i tak nas wszystkich nie zatłuką, bo po co im martwa siła niewolnicza, ja i tak miałem z nimi niezłe życie, i w sumie to go lubię i jestem w stanie mu wybaczyć, i że go lubię, i... tak wiele rzeczy chciałem mu powiedzieć, a w rzeczywistości nawet nie otworzyłem ust.

Staliśmy tak naprzeciw siebie, po czym Skuter kiwnął głową i wyciągnął rękę po karabin.

- Zrobię to – prawie wyszeptał.

Dostał karabin wyborowy Rega z jednym nabojem.

- Wiesz, na razie trochę ci nie ufamy, ale już niedługo to może się zmienić dzięki twojemu zaangażowaniu.

- Zbytek łaski - Skuter był blady i chyba nie tak to sobie wyobrażał.

- Nie, to nie. Nie będziemy się narzucać, nie chłopcy.

- Jasne – zaśmiali się w głos.

Brodacz stanął za Skuterem z pistoletem wycelowanym w jego głowę.

- Jakbyś, wiesz, zaczął się kręcić z tym karabinem.

Stary w tym czasie spokojnie mełł w ustach jakąś drzazgę, rozglądając się po okolicy i zupełnie nie zwracając uwagi na nadchodzącą śmierć.

Skuter przez chwilę, jakby ważył w dłoniach karabin, po czym błyskawicznie podrzucił do ramienia i strzelił.

Strzelił!

Stary stał jak stał. Za to Regulamin, z głębi gardła dobywał ni to jęk, ni to zawodzenie. Coraz głośniejszy i głośniejszy, a w końcu zamienił się we wrzask. Darł się na całe gardło i podskakiwał na jednej nodze.

Powoli docierało do wszystkich, że Skuter spudłował, albo że nie wcelował w Starego. Postrzelił Jeffa w udo.

- Tego to osobiście zastrzelę – brodaty szef grupy przestał celować w głowę Skutera i lufą wskazał drącego się Regulamina.

Jeden z grupy oprawców podszedł do niego i potężnie łupnął go pod mostkiem. Reg zakrzuszył się i zamilkł. Cios w tył głowy powalił go na ziemię.

- No cóż... - brodacz podszedł do niego, wycelował – powiedz, pa, pa, wujkowi. Albowiem nadeszła pora pożegnania.

- Pa, pa, wujkowi – bezwiednie powtórzył Reg, chyba zbyt otępiały i zdumiony by powiedzieć cokolwiek innego.

Samuel ryknął śmiechem i rozejrzał się po kolegach, którzy zawtórowali mu zgodnym rechotem. Po chwili śmiech jego zamarł, a on sam wpatrywał się w jakiś punkt między górkami. Poruszała się tam jakaś postać. W zasadzie to nie poruszała się, tylko szła. Na dodatek szła w naszą stronę. Był to Rob.

Znowu nas odnalazł, tylko po co?

- Aaa, brakujące ogniwo w naszym łańcuchu. Nie lubicie go, prawda? Ja też. Odkąd go zobaczyłem. Jest brzydki i się wlecze, więc uwolnię go od nas i świat od niego. Pozwolicie, że chwilkę zaczekam. Nie chciałbym spudłować jak ten oto gównojad. Specjalnie to zrobiłeś, nie? - Zwrócił się do Skutera. - Ale nie martw się, nie tylko nie opuścisz kopalni, nawet do niej nie trafisz.

- Zdechniesz szybciej niż ja.

- Nie mogę się doczekać, a teraz pozwól mi się skupić. Zabierzcie go – wrzasnął w stronę swoich koleżków, którzy po chwili odciągnęli Skutera i powalili na ziemię przykazawszy spokojnie leżeć.

Czekaliśmy w nieznośnym upływie czasu, patrząc jak Rob, swoim powolnym krokiem jest coraz bliżej i bliżej. Szedł do nas nieświadom sytuacji.

- Rob! Uciekaj! Uciekaj stąd! Nie idź tu! - darliśmy się w jego stronę powstrzymywani ciosami oprychów.

- Za późno chłopaki – Samuel uniósł rękę z pistoletem.

- Stój!

To nie był głos kogokolwiek z nas.

- Stój!

Głos był jakiś taki metaliczny. Znad pagórka, z tyłu za nami, podniósł się... rycerz? Takie skojarzenie miałem widząc po raz pierwszy na żywo kogoś w pancerzu bojowym.

Wszyscy obrócili się, unieśli broń i wymierzili w niego. Wszyscy oprócz nas, spętanych niewolników.

- Hej, żadnych gwałtownych ruchów i śmiesznych prób przestrzelenia pancerza. Hej, do ciebie też to mówię! Nie celuj we mnie! Opuść lufę! Trochę niżej! Dobry chłopak. A teraz wyjaśnię pewną interesującą nas wszystkich kwestię, która dotyczy losu tej oto tutaj grupy ludzi.

Zza jego pleców wierzchołek wzgórze zafalował. Z kilku kopczyków wysunęły się lufy, a my

wszyscy przestaliśmy się interesować nadchodzącym Robem. Stary dalej spokojnie mełł drzazgę. Zapadło milczenie, które w końcu odważył się przerwać brodac.

- Możemy się dogadać?

Trzeba było przyznać, że facet miał jaja i umiał zadawać właściwe pytania.

- No, właśnie na to czekałem, pewnie że możemy. Zabiorę tych ludzi i może pozwolę wam, pod pewnymi warunkami oddalić się stąd.

- To śmieszne i głupie, i mam w dupie takie warunki.

- Wybacz, ale możesz nie mieć wyjścia. To znaczy możesz walczyć. Dasz radę z kumplami? Czy może nie dasz? – pomachał ręką. Na drugim pagórku z kilku kopczyków wysunęły się lufy.

- To na wypadek, gdybyś wierzył, że przestrzelisz pancierz.

- Jakie warunki? - Samuel splunął i zadał, jak wiadomo, właściwe pytanie.

- Zabiorę ich, ich rzeczy, waszą broń i oddalicie się na wschód poza granicę starego stanu i już tu nie wrócicie. Przynajmniej nie tak szybko jakbyście chcieli.

- Bez broni – parsknął. - Równie dobrze zabijcie nas tutaj.

- Dacie sobie radę. Jest w miarę bezpiecznie, kh, kh, krh – to chyba miał być śmiech. - Właśnie stamtąd idziemy.

- Nie zgadzam się.

- Więc za pogwałcenie Azylu wykonam wyrok. No – patrzył na zdumioną minę brodacza – wieści szybciej się rozchodzą niż chcielibyśmy, by się rozchodziły.

- Wystawił nas, Butterbur przekląty!

- Och, zaraz przekląty, zaraz przekląty...

- Dorwę go i zatlukę!

- Będzie ci to dane jeśli stąd wyjdiesz cały, prawda?

Tym razem to nie brodac zadał właściwe pytanie.

W czasie tej niezwykle uprzejmej rozmowy negocjacyjnej pojawiło się jeszcze dwóch ludzi i zaczęło podchodzić do nas, a ja poczułem jak jeżą mi się włoski na rękach.

- To oni – było to wypowiedziane do osoby w panczerzu. - Sto procent!

Powiedział pierwszy, w którym rozpoznaliśmy Hermana... a ten drugi, który mu towarzyszył, potwierdził to skinieniem głowy.

Nabrałem dużo powietrza w płuca i powoli, ze świstem wypuszczałem.

Wiedziałem!

Wiedziałem, wiedziałem już wtedy, że to się tak szybko nie skończy.